

Ze zbioru legend karaimskich Abrahama Szyszmana

Karaimska łyżka

Dawne karaimskie wesela pozostawiały niezwykle ślady...



Ci Karaimi, którym przyszło żyć pod inflancką granicą na los swój nie narzekali. Miejsca tam dużo, pola żyzne... Tyle, że odległości dzielące osady, a i troska o chleb powszedni, nie pozwalały im spotykać się tak często, jak tego by chcieli. W porze letniej pracowano na polu, a znowu zimą przędzenie i tkanie zajmowało ludzi do późna. Wszystko, czego trzeba było rodzinie wyrabiano wszak w domu. Były jednak sprawy, wobec których cała reszta schodziła na dalszy plan. Do takich należało wesele córki.

O, wesele sprawiano z rozmachem... Zawczasu robiono piwo i mocny, klarowny krupnik, pieczono łoduszki i kijuwłuki. Goście zwykle zjeżdżali się w środę, a w czwartek rano rozpoczynała się uczta. Przez cały tydzień na stole królowały *birindże*, kiszka *kujma* i, rzecz jasna, gęsty, świąteczny *tutmacz*. Konie gości także nie głodowały: ich panowie raczyli się wspomnianymi specjałami, a im bez przerwy dosypywano w żłób owsa.

Jeśli było coś, o co gospodarz się nie zatroszczył, to – łyżki. Te, zgodnie z tradycją, goście przywozili sami. Przywozili, ale nie zawsze odwozili. Bo, pomyślcie: wesele kończy się. Goście sadowią się na wozy. Powozi ktoś z młodszych, głowa rodu leży gdzieś na dnie, i tylko czasem daje o sobie znać jokrzykiem: – Hej! Z drogi-i-i! Karaimi jadą!!! – I chociaż jadący mają łyżki głęboko wetknięte w cholewę, to po drodze je gubią. Zatem nazajutrz drogi usiane są bielejącymi łyżkami. Przejedny Litwin batem wskazuje pasażerom swym dziwne zjawisko: – *Karaimiszkas szauksztas!* – mówi. – Karaimskie łyżki! – I na jego twarzy pojawia się chytry uśmiech.

Z języka rosyjskiego przełożył Jerzy Tulisow
Ilustracja: Kasia Majchrowska